

Po śladach

Styczniowa noc była nadzwyczaj jasna. Na bezchmurnym niebie wisiał księżyc, a jego blask odbijał się od śniegu iskrzącego się wokół oliwskiego akademika. Dochodziła druga w nocy. Gdzieś w oknach studenckich pokojów paliły się światła. Jedni korzystali z uroków swojej młodości, o czym świadczyły głośne śmiechy i bigbitowe rytmy z radioodbiorników, inni zaś czynili ostatnie powtórki przed nadchodzącymi egzaminami i gorączkowo wertowali każdą zapisaną kartkę papieru, jaka wpadła im w ręce. Obie grupy srogo pomstowały na siebie, a było to tak samo zaskakujące, jak fakt, że akcentu towarzysza Gomułki nie dało się zawrzeć w kanonie wzorcowej polszczyzny. Sam „Wiesław” w zeszłym roku wyrzekał na młodzież dającą się porwać „awanturniczej anarchii”. Patrząc na dychotomię zachowań w domu studenckim niejednen mógłby stwierdzić, że I Sekretarz się nie mylił.

Przy wejściu do akademika rozległo się narastające skrzypienie śniegu. Zza zakrętu wyłoniła się młoda dziewczyna w czarnym płaszczu. Lekko niepewny krok mógł sugerować, że właśnie wracała z jakiejś zabawy. Księżycowa łuna dobrze podkreślała wydatne kości policzkowe, ciemne, opadające na ramiona włosy i zielone oczy gotowe do tego, aby w jednej chwili zmienić bijącą z nich serdeczność w ciskające wściekłością pioruny.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna do portiera, otwierając drzwi. Ledwo słyszalne pochylenie ostatniej głoski w stronę „i” zdradzało pochodzenie z okolic Kurpiowszczyzny.

Starszy pan zerknął na nią podejrzliwie znad „Trybuny Ludu” i spojrzął na zegarek. Nie wiedział, czy młoda dworuje sobie z niego, jednego był pewien – to bezsprzecznie nie była pora na tego typu przywitania.

– O której to się wraca? Nazwisko. – ton jego głosu dobitnie świadczył, co sądzi o takich nocnych eskapadach.

– Marianna Zięba. – dziewczyna uznała pierwsze pytanie za retoryczne i zrezygnowała z odpowiedzi na nie.

Portier sprawdził w rejestrze. Rzeczywiście, mieszkała tu taka. Niedbałym ruchem głowy wskazał jej drugie drzwi. Marianna jak szybko się pojawiła, tak szybko zniknęła, sadząc susy po schodach. Z dali niosły się dźwięki najnowszego przeboju „Trubadurów”.

Otworzyła drzwi do pokoju. Dzieliła go z trzema koleżankami z roku, które, o dziwo, nie spały. Jakby w jakimś amoku strzelały do siebie krzyżowym ogniem pytań, odpowiedzi i dopowiedzeń. Jak okiem sięgnąć, wszędzie walały się notatki i otwarte podręczniki. Najwyraźniej świetlana przyszłość narodu postawiła przed sobą śmiałe, acz karkołomne zadanie – cały semestr w jedną noc. Dziewczyny nie zauważyły powrotu swojej współlokatorki i dalej poddawały swoje możliwości percepcyjne niemożliwemu.

Marianna zdjęła płaszcz i buty, szybko przebrała się w piżamę i wsunęła pod kołdrę. Trochę jej szumiało w głowie. Rano musiała wstać na egzamin, a raczej na jego przełożenie. Profesor dał taką możliwość, tym bardziej nie rozumiała tego rejwachu po nocy.

Następnego dnia (technicznie rzecz biorąc, tego samego) Marianna pojawiła się na Wydziale. Drewniana boazeria jej *Alma Mater* i wystawione na korytarzach popiersia wielkich filozofów dodawały murom uczelni powagi. Murom, nie studentom, choć stan Zięby można było określić jako poważny. Po wczorajszych zakrapianych tańcach czuła się, jakby wypła cykutę. Być może przyczynił się do tego Sokrates, którego podobiznę właśnie mijala w drodze do gabinetu profesora Wolniewickiego. Wcale by się nie zdziwiła, studencki przesąd przypisywał bowiem owym rzeźbom pewne moce tajemne, a złośliwość greckiego myśliciela była aż nadto dobrze znana w historii.

Ledwo doczołgała się na trzecie piętro, gdzie jej skołataną głowę zaatakował zniecka niesłychany zgielk. To jej koleżanki i koledzy koczowali na podłodze przed profesorskimi drzwiami. Jedni wpisywali się na listę kolejności wchodzenia do gabinetu, inni nerwowo chodzili korytarzem, z zamkniętymi oczyma mantrując wykute formułki, jeszcze inni siedzieli i przekrzykiwali się, zupełnie jak jej współlokatorki wczorajszej nocy.

Marianna ogarnęła wzrokiem całe zamieszanie. Z sześćdziesiąt osób. Czekać potrwa wieki, a ona przecież tylko chce przełożyć egzamin. Podeszła do Stasia Wojnarowicza dzierżącego kartkę z podpisami.

– Cześć – przywitała się. Odpowiedział jej lekkim ukłonem. – Już odpytuje?

– Jeszcze nie, zaraz będzie prosił, a co? – spytał Stanisław.

– To dajcie mi wejść poza kolejką, chcę mu powiedzieć, że przyjdę w tym drugim terminie.

Wojnarowicz popatrzył wkoło, ale niewiele osób zwracało na niego uwagę. Tych kilku wyrażających milczącą aprobatę wystarczyło mu. – Dobrze, wchodź – zgodził się.

Marianna grzecznie zapukała i weszła do gabinetu profesora Wolniewickiego. Za biurkiem siedział pomarszczony mężczyzna wyglądem przypominający starego żółwia. Ogromne okulary w rogowej oprawie i jasnozielony sweter tylko potęgowały to wrażenie. Profesor pisał coś wiecznym piórem na kartce. Nie odrywając wzroku, wskazał Ziębie wolną ręką krzesło. Usiadła. W ciszy, jaka zapadła, słyszalne było tylko tykanie przedwojennego zegara na ścianie i skrobanie stalówki.

Minuty mijały, a Wolniewicki dalej był zajęty, zapewne przelewaniem jakiejś szalenie ważnej myśli na papier.

– Panie profesorze... – zaczęła Marianna.

– Chwileczkę – przerwał jej łagodnie, dobierając atramentu tłoczkiem.

Studentka zamilkła. Nie chciała zdenerwować pedagoga, mimo to po chwili postanowiła spróbować jeszcze raz. – Panie pro...

– Chwi-le-czkę.– Wolniewicki odrobinę przeciągał sylaby.

Poddała się. Niech skończy, wtedy mu powie.

Sęk w tym, że profesor ani myślał skończyć. Zamiast tego uruchomił niespotykaną podzielność uwagi.

– Dobrze, więc co mi pani powie o starożytnej idei wychowania? – spytał, dalej zapamiętale pisząc.

Marianna oniemiała. Nie po to tutaj przyszła! Co robić? To będzie katastrofa. Profesor zaczął egzamin, powiedzieć teraz, że się do niego nie przystępuje to jak rozbrajać bombę na ślepo. Jak zareaguje? Wzięła głęboki oddech. Teraz już nie ma odwrotu. Trzeba wyteńczyć umysł. Szkoda, że w skupieniu nie pomagała ciężąca po wczorajszych ekscesach głowa.

– „Starożytne wychowanie.. dobrze, od czego zacząć?” – myślała szybko. – „Sparta! Najprościej od tego, surowe, ciężkie warunki... jeśli dzieci i wychowanie, to musi ktoś być, jakiś autorytet, wychowawca...” – nagle ją olśniło. Czyj posąg mijają przed chwilą? – „Sokrates! Wychowawca młodzieży! Ha!”

Zacząła mówić. Z początku niepewnie, z każdym zdaniem jednak nabierała werwy i płynności. Potwierdzało się, że owszem, sama wiedza jest nieodzowna, ale umiejętność przekazania jej i wiara we własne słowa odgrywają kluczową rolę. Pod koniec swojej wypowiedzi gotowa była sama uwierzyć, że jest specjalistką w zakresie historii wychowania. Skończyła. Profesor w końcu oderwał się od kartki i spojrzał na nią.

– To wszystko? W takim razie poproszę o indeks. – Profesor otworzył i zamasyście wpisał ocenę opatrzoną podpisem. W książeczce zagościła czwórka. – Dziękuję bardzo i do widzenia. Proszę zawołać następną osobę.

Marianna wyszła z gabinetu, dalej nie rozumiejąc, co się przed chwilą stało. Z zamyślenia wyrwał ją tłum zdenerwowanych kolegów z roku. Niemalże wrzeszczeli do niej jeden przez drugiego:

– Co tak długo?! Coś ty tam robiła?! Miałaś tylko przełożyć!

– Eee...– nie miała nigdy skłonności do zacinania się, ale w tym wypadku było inaczej. – Zdawałam egzamin...

Rwetes, jaki powstał, przeszedł oczekiwania skołowanej dziewczyny. Każdy chciał zobaczyć jej indeks, mało brakowało, a by go podarli. Marianna na szczęście zdołała się wyrwać z rozemocjonowanej cizby i czym prędzej skierowała się do wyjścia. Dziwnym trafem głowa przestała ją boleć.

Zatrzymała się tylko przy Sokratesie. Tym Sokratesie, który uratował ją przed kilkoma minutami. Może faktycznie coś było w tym żakowskim zabobonie?

– Dzięki, przewrotny wychowawco – powiedziała, patrząc w surowe oblicze.– za tę cenną lekcję. Za zesłane mi logiczne myślenie. Może w przyszłym semestrze z logiką nie będzie źle?

– Powtarzam, z egzaminu z logiki otrzymała pani ocenę niedostateczną.

– Problem w tym, proszę pana, że nie rozumiem, jak do tego doszło.

– Pomięła pani całą pierwszą część, a rozwiązała tylko drugą.

– No właśnie! Profesor Bielski ustalał z nami, że ten, kto otrzymał w zeszłym semestrze bardzo dobry, będzie przystępował do egzaminu tylko z drugiej części. Pierwszą więc pomięłam.

– Profesor jest na urlopie i do czasu jego powrotu ja tu rządę!

Huk zamykanych drzwi definitywnie przesądził sprawę, którą Marianna miała nadzieję dziś załatwić. Uderzenie było tak mocne, że lampa pod sufitem zakołysała się złowroźnie.

– Marcowy docent – mruknęła ze złością, idąc w stronę sali wykładowej. – Pierwszy raz w życiu poczuł się ważny.

Lekko spóźniła się na zajęcia. Półokrągła sala schodząca piętrowo w dół nie była zanadto zapelniona. Piątkowe południe niektórzy studenci traktowali już jako sobotę. Szkoda, bo profesor Prokopczuk ciekawie opowiadał, a kresowy akcent ze szczególnym uwzględnieniem przedniojęzykowego „ł” przydawał kolorytu jego wykładom.

Marianna zeszła mniej więcej do połowy auli i usiadła obok Antka Studnikowskiego, kolegi z grupy. Chłopak podniósł głowę znad notatek i zerknął na nią pytająco.

– Nic z tego – powiedziała ponuro. – Prędzej grochem ścianę przesuniesz, niż przetłumaczysz cokolwiek Stopce. Nawet mnie nie wpuścił, rozmawiał ze mną w drzwiach.

Antoni westchnął współczująco. – Nie przejmuj się – pocieszał ją. – Pamiętasz, co zawsze mówi Bielski? *Repetitio est mater studiorum*.

– Tak – prychnęła Marianna głośno, ale zaraz ściszyła głos, bo kilka osób popatrzyło nią karcąco. – Szkoda tylko, że nie sprecyzował, czy chodzi mu o powtarzanie materiału, czy o powtarzanie roku, bo ten jego zastępca-politruk chyba tak to zrozumiał.

–...więc po wyzwoleniu terenów Polski wojska radzieckie wycofały się za Bug do ZSSR.– nagle pogrążoną w rozmowie dwójkę przyjaciół wyrwał z niej lwowski akcent Prokopczuka. Szpakowaty mężczyzna siedział na samym dole,

Ziębie zaświeciły się oczy. Antek znał to spojrzenie. Marianna miała je zawsze, kiedy usłyszała coś, co uważała za niedorzeczne i czym prędzej chciała ową niedorzeczność sprostować. Dziewczyna podniosła rękę, chcąc zabrać głos. Na nic zdało się dyskretne pociąganie jej za rękaw bluzki przez Studnikowskiego. Nie bez powodu co bardziej dowcipni studenci skandowali autorską rymowankę: „*nasza Ziębianka – przekorna koleżanka*”.

Profesor dostrzegł to. – Tak? Chce pani coś powiedzieć.. pani Marianno?– odszukał w pamięci imię studentki.

Kiwnęła głową, po czym wstała. – Panie profesorze, z całym szacunkiem, ale ja potrafię odróżnić język rosyjski od polskiego. Jeśli więc widzę na ulicy mężczyzn w mundurach mówiących do siebie płynną ruszczyzną, to z kim miałam do czynienia, jak nie z żołnierzami sowieckimi? – celowo nie użyła słowa „radziecki”.

Prokopczuk przez chwilę zastanawiał się, czy roztropniejsze nie byłoby zignorowanie pytania, niż odpowiadanie dziewczynie. Wystarczyło jedno nieopacznie rzucone słowo, a zostanie zwolniony z pracy za „działalność antysocjalistyczną” lub „demoralizację młodzieży”. Po marcowych wydarzeniach ubiegłego roku wielu jego kolegów wyrzucono z uczelni. Tak w przenośni, jak i dosłownie – za poparcie swoich uczniów milicja zrzuciła ich z wydziałowych schodów. Żałował, że wtedy nie wystarczyło mu odwagi, by stanąć tam razem z nimi. Teraz też jej nie miał, by powiedzieć, co myśli naprawdę. Popatrzył na audytorium i zrozumiał, że studenci zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź. Obejrzał się za siebie na tarczę przedstawiającą białego orła bez korony, jakby bojąc się, że drapieżny ptak ożyje i zatopi w nim szpony. Zanim zdążył choćby otworzyć usta, Marianna szła za ciosem. – Profesorze, pan pochodzi przecież ze Lwowa, z polskich Kresów.

- Trudno zaprzeczyć – odpowiedział.
- Jak więc pan może mówić o jakimkolwiek wyzwoleniu? Pan, który mieszkał na ziemiach deptanych teraz przez żołdaka? Czy to słuszne? Czy sprawiedliwe?
- Logika dziejów nie zna pojęcia sprawiedliwości, droga pani – westchnął profesor. – a są sprawy, o których nie powinno się mówić głośno.
- Są też takie, wobec których nie wolno milczeć.
- Proszę zatem rozstrzygnąć we własnym sumieniu, do jakiej kategorii należy moje stwierdzenie o żołnierzach radzieckich. Przemawia przez panią idealizm lat młodości. – zerknął na zegarek. – Wróćmy do wykładu po przerwie. Idźcie na obiad.

Kolejka w uczelnianej stołówce była pokaźna. Na szczęście Marianna z Antkiem zdążyli szybko wyjść z sali i weszli przed wlewającym się do pomieszczenia tłumem. Ostatni wszedł profesor Prokopczuk. Wypatrzył na początku dociekliwą studentkę wybierającą danie z bufetu i skierował się w jej stronę, omijając kolejkę. Nauczyciel wziął tacę z naczyniami i sztućcami, wyprzedził Mariannę i zastąpił jej drogę. Zięba zastygła w bezruchu. Kresowy historyk przyjrzał się jej badawczo, po czym uśmiechnął się wyrozumiale, jak gdyby coś właśnie pojął.

– Myślę – powiedział, a szczerzy uśmiech nie schodził mu z twarzy. – że pani jest jeszcze dużym dzieckiem.

Marianna nie pozostała mu dłużna. – A i owszem, jestem dzieckiem, ale na pewno nie pana, tylko mojej mamy. – wzięła swoją tacę, zręcznie wyminięła Prokopczuka i poszła dalej.

Profesor zaśmiał się serdecznie. Zauważył wzrok Antka podążający za koleżanką. – Uważaj na nią. – puścił mu oko i żartobliwie pogroził palcem. – ona jest jak sprężyna. Odda ci, zanim się spostrzeżesz.

– Na dzisiaj koniec opowieści, wnusiu – powiedziała babcia Mania. Właśnie skończyła obierać jabłka na placki. Białe włosy spięła z tyłu, żeby nie przeszkadzały. Uśmiechnęła się do Adama. Ten uśmiech babcia miała cudowny, radosne ogniki w oczach żarzyły się zza prostokątnych okularów. Siedziała ze swoim wnukiem w kuchni i rozmawiała, jak co tydzień, kiedy ją odwiedzał. Od strony kuchenki podłoga wyłożona była starymi gazetami, aby przy smażeniu przyskający tłuszcz nie pobrudził wszystkiego. Widok zasłanych papierem kafelek przywodził jej na myśl czasy, kiedy koleżanki uczyły się po nocy do sesji...

I znowu stanął jej przed oczami Sokrates, znowu siedziała obok Antka, tego Antka podkochującego się w niej skrycie... Trzaskające drzwi i wpis do indeksu... Ten dobrotliwy uśmiech profesora. Teraz już wiedziała, co oznaczał.

Z głębokich wspomnień wyrwał ją Adam. Otarła ukradkiem łzę wzruszenia, niby to drapiąc się po policzku. – Ale przecież babcia ma jeszcze więcej swoich historii ze studiów. Niech jeszcze babcia coś opowie – poprosił.

– Za tydzień.– Marianna była nieprzejednana. – Teraz pewnie jesteś głodny.– wyjęła jajka z lodówki. – Dla byle kogo placki robi się z jednego. Dla kogoś ważnego z dwóch– powiedziała i wbiła trzy do miski. – Pomyśl o swoich studiach. W październiku się zaczniesz.

–Oby były choć w połowie tak ciekawe, jak twoje, babciu – westchnął Adam.

Babcia zapatrzyła się przez okno w sobie tylko znany punkt.

– Tym się nie przejmuj – powiedziała po dłuższej chwili. – Czasy się zmieniły, ale to przecież w końcu ten sam Wydział.